

POWIEŚĆ i NOWELA

*bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Świata”
do N-ru 40-go z dnia 5.X.1935 r.*

EDWARD ESTAUNIE

członek Akademii Francuskiej

34)

GŁOS Z ZA ŚWIATA

— A jednak — odpowiedział pan Lormier, coraz bardziej niepewny — czujemy, że jesteśmy wśród ciemności, czy niema skądkolwiek światła?...

Podniósł się po tych słowach.

— Proszę mi wybaczyć, zapomniałem, że przeszkodziłem. Często się zapominam, mówiąc o pewnych rzeczach...

— Nie wychodzę nigdy i nie przyjmuję nikogo, ale pan może przyjść, — powiedziała pani Manchon, z życzliwością, co wydało mi się czymś nowym.

Pan Lormier wyjąkał jakieś podziękowanie, którego nie zdołałem nawet zrozumieć i zwrócił się wprost do drzwi, gdy nagle spostrzegłem go cofającego się z wyrazem przerażenia. Przed chwilą wszedł bez najmniejszego szmeru ksiądz Manchon i słuchał rozmowy. Nikt go nie zauważył, tak byliśmy myślami przetrzuceni ponad siebie. Nastąpiła krótka wymiana słów, a choć były przypadkowe, niepodobna ich było nie zauważyć.

— Przepraszam, nie widząc pana, o mało go nie potrąciłem.

— Wcale nie... proszę przejść!... Chyba się nie myślę... pan Lormier?

— W istocie!

— Miałem kiedyś zaszczyt...

— Pamiętam... Wierz mi, księżo, poznaję, doskonale poznaję... Przepraszam...

I zdjęty panicznym strachem pan Lormier na nowo zaczął się kłaniać, śpiesząc ku drzwiom. Wyjście jego było raczej ucieczką.

Patrzyliśmy na siebie zdumieni. Skąd ten pośpiech, ta ucieczka? Co do mnie doświadczyłem wrażenia, zerwania równowagi przez nieocze-

kiwane wejście w jakąś nową awanturę. Ksiądz wyglądał na zatroskanego. Pani Manchon powróciła już do swego zastygłego wyglądu, zdawała się wyczekiwać wyjaśnień jego obecności, która w jej oczach była niewłaściwa.

— Spotykałeś tego pana? — zapytała wreszcie, zniecierpliwiona czekaniem na wyjaśnienia, według niej niezbędne.

Ksiądz wykręcił się:

— Raz, czy dwa... Byłem blisko jego córki, która zmarła tu, u Karmelitanek. Ale ty, matko, skąd go znasz?

— To jest nowy lokator.

— Ach!...

I milcząc, zaczął przechadzać się po pokoju. Wyraz przykrego wahania się prześlizgnął mu się po twarzy. W chwili, gdy się zatrzymał, domyślałem się, że przejdzie następnie do drobiazgów natury delikatnej.

— Czy on mamie opowiadał, że niegdyś mieszkał w Semur? — śmiało zapytał.

Pani Manchon wydała stłumiony okrzyk.

— Za czasów Reného?

— Być może... prawdopodobnie...

Złączone dłonie pani Manchon się skurczyły.

— Czy sądzisz, że go znał?

— Nie... jestem nawet pewny, że przeciwnie. Nastąpiło milczenie.

— Wszystko jedno — rzekła pani Manchon, — dobrze robisz, uprzedzając mnie o tem. Zawsze się błędzi, dopuszczając do swych drzwi nieznanomych. Nie przyjmę go więcej.

Jednocześnie oczy jej błędziły dookoła, może szukały podpory, która byłaby dość mocną, i wów-

czas dopiero zauważyła, że ja tam jeszcze byłem.

— Nareszcie, drogi panie, dość roboty na dzisiaj! Niech się pan nieco przejdzie. Doskonale jest niekiedy tak nieoczekiwanie odpocząć. A ty, Henryku, czy masz mi jeszcze co do powiedze-

nia? Nie? w takim razie zostawcie mnie samą... Potrzebuję być sama... Wychodzić ze swych przyzwyczajęń nie jest niczem osobliwym; powraca się jednak bardzo zmęczonym...

(d. c. n.).

(Przełł. autor. Zofji Dygasińskiej-Wolertowej).

ZOFJA NAŁKOWSKA

GRANICA

Zamieszczamy poniżej fragment z nowej powieści Zofji Nałkowskiej — „Granica” — która w tych dniach ukazała się w wydaniu Gebethnera i Wolffa. Długo oczekiwanej powieści znakomitej autorki poświęcił „Świat” w poprzednim numerze wnikliwą recenzję pióra Jana Lorentowicza. Fragment, który dziś podajemy, stanowi charakterystyczną próbę stylu Nałkowskiej i jej świetnej umiejętności charakteryzowania głębokich pokładów duszy małemi, napozór niemażnemi słowami. Dwie stare kobiety — dwa typy — dwa światy, zaobserwowane i oddane mistrzowsko.

8

Pani Cecylja Kolichowska wyraziła się raz tak: „wszystkiego się spodziewałam, ale tego, że będę stara, to nigdy”.

Było to po pewnej scenie z Elżbietą. Z tą dziewczyną, do której przywiązała się naprawdę, jak do rodzonego dziecka. A czasami myśli, że to jest stworzenie bez serca, zupełnie pozbawione uczucia, ktoś obcy, prawdziwy wróg domowy. Żyje tylko swoim życiem, poza sobą nie widzi nikogo. Nie rozumie, że ktoś obok niej się męczy, że istnieją większe tragedje, niż nie móc wyjechać na uniwersytet. Wystarczy poprośtu się odezwać, żeby zaraz była innego zdania. Bierze stronę każdego przeciw niej, wciąż o coś walczy, każdy jest jej bliższy, niż ona, jedyną siostrą jej ojca, kobietą, która właściwie ją wychowała, nie mając wobec niej żadnych obowiązków. Bo przecież nie jest sierotą, skoro jej matka żyje i opływa we wszystko, a odkąd została małżonką dygnitarza, którego przez szereg lat była kochanką, mogłaby sobie przypomnieć, że ma córkę. Stała w obronie oszusta i złodzieja Gołabskiego, nie daje ruszyć Chąsbów, którzy na komorne wprowadzić nie mają, ale urządzać u siebie hałasy i pijatyki co tydzień to mogą, ujmuje się za Ignacym, starym leniem i niedolęką, przez którego marnieje ogród, nie da słowa powiedzieć żadnej służącej. Co to wszystko jest? Poczucie sprawiedliwości, równość, uświadomienie społeczne? Pani Cecylji wiadome były te rzeczy nie od dzisiaj. Sprawiedliwość, dobrze. Ale niechże idzie ze swojemi pretensjami tam, gdzie naprawdę jest jakiś wyzysk i krzywda, nie do niej, którą właśnie wszyscy wyzyskują, której ta kamienica nie przynosi, prócz kłopotów. „Ja ci wcale nie powiadam — mówiła do Elżbiety — że świat jest dobrze urządzony i że każdy ma, co mu trzeba. Ja tylko nie chcę sama jedna cierpieć za to, że jest urządzony źle”.

Po scenach z Elżbietą następowały godziny i dni śmiertelnych uraz, których zapomnieć niesposób, milczeń nadętych i beznadziejnych. Honor nie pozwalał odezwać się z pierwszym słowem, upór rozdłużał te stany w nieskończoność. A mroczne powietrze domu napełnione było czarnem promieniowaniem niezdrowej, histerycznej, złej kobiecości.

Pani Cecylja zdawała sobie niekiedy sprawę,

że to, co jest takie wrogie w Elżbiecie, to jest po prostu młodość. Wtedy mówiła:

— O jedno cię tylko proszę, moja Elżbieto, pozwól mi spokojnie być starą. Jak umrę, to będziesz tu sobie mogła rządzić po swojemu, jak ci się tylko będzie podobało. Ale tymczasem żyję i jestem u siebie.

Dla pani Cecylji starość była rzeczą najdziwniejszą, jaka się może przytrafić. Młodość stanowiła jej najdawniejsze przyzwyczajenie. To nie dbałe codzienne szczęście wydawało się nieodjęte, było stanem naturalnym, jedynym właściwym czasem życia. Starość istniała i dawniej, ale gdzieś daleko, należała do innych ludzi, była cudza, skazana na rychłe przeminięcie i śmierć. Niepodobieństwem było teraz na to przystać. Przez całe życie oczekiwała jakiejś zmiany, z dnia na dzień liczyła, że wreszcie wszystko się wyjaśni, usprawiedliwi, nabierze sensu, że coś się wreszcie okaże. Całe jej życie było ustawicznym zamiarem, ambitnym projektem, niecierpliwem, gniewnem wyczekiwaniem. Wszystkie te rzeczy niepozamykane, niedokonane, musiały prowadzić do jakiegoś wniosku, coś definitywnego spowodować. Starość była procesem rozpadania się tych złudzeń.

Wydawało się niemożliwością, aby to miało być wszystko. A jednak to było wszystko.

Z powodu ustawicznego od lat niezdrovia, kataru płuc, powiększenia wątroby, niepokojów serca, pani Cecylja zawsze sobie projektowała, że kiedyś, jak się wreszcie ułożą interesy, „weźmie się do siebie”, odbędzie porządną kurację, wyjedzie do jakichś zagranicznych wód albo do sanatorium. Wówczas zacznie nowe, normalne życie. Wszystkie ważne osobiste sprawy odkładała sobie do tego czasu, liczyła na to, jak na rzecz niewątpliwą. Tymczasem nie takiego nie nastąpiło. Przeciwnie, zaczęły się choroby zupełnie nowe, bezsensowność, ataki duszności, niezdrowe bóle we wszystkich stawach. Na wąskich, normalnych dotąd palcach porobiły się guzy i skrzywienia, nogi były bezwładne prawie do kolan i każdy paznokciec rwał i bolał na swój własny sposób. Pani Cecylja zaczęła chodzić z jedną laską, później z dwiema, nie mogąc zrozumieć, że coś podobnego ją właśnie spotyka. Były dni, że nie była w stanie wcale się podnieść. Leżała w łóżku, rozmyślając o tem wszystkim i nie mogąc się temu dość nadziwić. Z największym wysiłkiem, z trudnością niezmierną ro-

biła to mozolne odkrycie, że właściwie nie już ją nie czeka, że się już nie stanie. Że jedyną rzecz, jaką ma przed sobą, rzecz ciężka i kłopotliwa, którą jeszcze musi wykonać, to jest umrzeć.

W złych chwilach wracała do niej myśl uporczywa, którą umiała zwalczać wówczas, gdy jeszcze była silniejsza. Była to myśl o synu. Wiele minęło lat, odkąd widziała go po raz ostatni, odkąd ciężko chorego kilkunastoletniego chłopca wywoziła do sanatorium zagranicę. Myślała wówczas, że go utraci, przez wiele lat bała się o jego życie. Ale nie umarł. Tylko nie chciał więcej jej widzieć. Odmieniło mu się serce — temu dziecku, tak ją kiedyś uwielbiającemu. Nie mógł jej darować jej drugiego małżeństwa, w jakimś paroksyzmie dziecinnej patologicznej zazdrości zło-rzeczył jej i przeklinał. Nie dała sobie wówczas „zamknąć drogi do życia“, jak mówiła. Ileż razy jednak rozważała później w pamięci te słowa dziecinne jasnowidzenia: „to jest niedobry człowiek, przekonasz się, że on jest niedobry“. Poświęciła uczucie dziecka, by żyć swoje życie, które jest jedno i nie da się powtórzyć. Życie, które łatwo jest zepsuć, a naprawić tak trudno.

Tuż obok panoszyła się młodość Elżbiety. Pani Kolichowska lubiła, gdy Elżbieta wchodziła do pokoju, lubiła jej głos, jej słowa, jej ruchy. Uczuwała wzruszenie, gdy Elżbieta nachylała się nad nią, pytając o zdrowie, gdy grzała dla niej wodę do torby gumowej, rozpuszczała w szklance tabletki Vichy, gdy krzątała się przy niej, pochmurna, cicha i zřeczna. Po dziesięć razy w ciągu dnia pani Cecylja chwyciła samą siebie na gorącym uczynku tej słabości. Nie mogła znieść, gdy Elżbiety nie było w domu. Ze wstydem i gniewem oczekiwała niecierpliwie jej powrotu. Za nic na świecie nie byłaby dała wyrazu tym uczuciom tak jej niegodnym. Pokrywała wzruszenie skargami na swój zły los, na chorobę, cierpienia, niewygody, służbę. Ewcia jest niechętna i do niczego. Michalina ospała i leniwa. „Nigdy się nie można nikogo doprowadzić w tym domu, niczego się nie można doprosić“. I jeszcze oczywiście „można dziesięć razy umrzeć, zanim nareszcie ktoś się zjawi“.

Wyjazd Elżbiety w czasie ostatniej wiosny, to było doświadczenie, przechodzące jej siły. Na myśl, że jej spotkanie tam z matką może coś zmienić w ich stosunku, zamierała z przerażenia. Oto nigdy niema spokoju, oto nie na ziemi nie jest skończoność i zawsze jeszcze drugi człowiek może stać się źródłem niewymownego udręczenia.

Stara twarz przyjaciółki, Łucji Posztraskiej, pochylającej się teraz nad jej łóżkiem, przejmowała ją obrzydzeniem. Pani Łucja zastępowała przy niej siostrzenicę, nocowała w domu, gdy pani Cecylja było gorzej. A ona gniewała się na nią za to, że nie jest Elżbietą.

Jak przed laty, pani Posztraska przychodziła nieoczekiwanie drzwiami od kuchni, prosząc o pożyczanie trochę węgla albo o parę złotych „do jutra“. Czasami pytała, czy nie mogłaby posiedzieć trochę w ogrodzie, bo ma dużo do cerowania, a w mieszkaniu na górze duszno. Albo jeszcze: „Czy nie zrobisz ci różnicy, Cesi, jeżeli przeproszę ci ciebie parę kawalców, bo dziś nie palłam pod blachą, a Maurycy włożył ostatnią czystą koszulę“. Pani Cecylja przystawała na prośbę.

I pani Łucja zjawiała się z pękiem bielizny. Zawsze ubrana czystutko w wypelzłe satinetki i

kretony, w których służba i sama pani Cecylja rozpoznawała dawne ofiarowane jej suknie.

Co tu mówić, ta kobieta jest poprostu w nędzy. Żyje w ciężkiej codziennej pracy, w nieustannej trosce i zależności. Powinna chyba być nie-szczęśliwa, powinna się trochę skarżyć. Nie podobnego. Przychodzi zawsze wesoła, pełna wiadomości lub wspomnień. Niczego nie bierze ze złej strony, może nawet niczego nie bierze na serjo. Cały świat jest miejscem, na którym odbywają się sprawy zabawne, a o tych sprawach można się dowiedzieć i później zajmując to opowiadać. Oto jest rzeczą niewątpliwą, że się Gieraccy rozchodzą. O pani Gierackiej, tej, która miała białego szpica Lulu, już się nie mówi „młoda“, odkąd stara pani Gieracka umarła. Teraz ona z kolei jest stara, a jej mąż chce rozwodu, żeby ożenić się z młodszą panną Ciwidzką. Człowiek na stanowisku, człowiek, którego pensja wynosi jakieś tysiące miesięcznie. Nie dziwnego, że młodej dziewczynie przewróciło się w głowie, że ma dosyć tego bębnienia na maszynie w biurze. I oto jest temat: mężczyźni! Ach, jeszcze raz można pomówić o tem dosyć! Wystarczy młody, ładny buziak, żeby opuścić żonę, z którą przeżyło się dwadzieścia lat, żeby opuścić dorastające dzieci. Mężczyźni! Jakiś niższy gatunek ludzki, rodzaj zwierząt, które należy opanowywać, ujarzmiać, trowsować, które trzeba umieć *trzymać*. Poświęca się temu całe życie, całą inteligencję uczucia, całą przemysłowość instynktu, stwarza się nową dyscyplinę psychologiczną, pełną wskazań, norm i paragrafów — na próżno.

Czy na przykład mówi kto kiedy, że jakiś mężczyzna „umie postępować z żoną“? Nie. Bo kobieta jest kimś, z kim można się dogadać, na kogo można liczyć, komu można zaufać.

Albo mówi się powszechnie: „ona umie postępować z mężem“, albo „ona nie umie postępować z mężem“. Wiadomo jest, że stara pani Ziembowiczowa umie, a Łucja Posztraska nie. Cóż to znaczy? To znaczy, że są to jakieś istoty, z którymi niema zwykłego stosunku człowieka do człowieka, istoty wrogie, nieobliczalne, pełne dzikich instynktów, tajemnicze i kłamlive. Trzeba je za wszelką cenę odgadnąć, trzeba się przeciw nim zbroić, życie z nimi wciąż grozi niebezpieczeństwem i zgubą. Nie jest niewątpliwie, nie jest pewne — a zato możliwe jest wszystko.

Tak. Ale nie wszyscy. Pani Posztraska godziła się na sąd przyjaciółki, jeżeli idzie o cały ten gatunek, jeżeli idzie o mężczyzn *cudzych*. Ale o swoim mężu myślała inaczej. I zawsze gotowa była o nim mówić, nie bacząc na wyraźną nieżyczliwość pani Cecylji.

Dla niej nie było ważne, że Maurycy wszystkie pokolei posady tracił z powodu lekkomyślności i pijaństwa, że podpisywał weksle obcym kobietom, że popełnił jakieś nadużycie i miał sprawę, z której się szczęśliwie wykreślił. Ważne było, że jest stanowczy, że jak coś powie, to już tak musi być, broń Boże mu się w czem sprzeciwić. Nie było ważne, że od rana siedział u Chązowicza i w jakąś loteryjkę przegrywał grosze, wyłudzone przez nią od pani Cecylji. Że wracał tam zaraz po obiedzie, z którego żeby nie wiem co nigdy nie był zadowolony, gdyż jak nikt znał się na jedzeniu i nielato było mu dogodzić. Że wieczorem znalazł zawsze sposób, by gdzieś z kimś popić,

gdzieś się zadłużyć czy jeszcze raz kogoś naciągnąć.

Ale było ważne, że to jest *grand seigneur* w każdym calu, że ma takie szczęście do ludzi, iż wszyscy za nim przepadają. To prawda, że jak nie jest w humorze, to do niego ani przystęp. I język ma cięty. Nie daj Boże mu się narazić, bo człowieka tak urządzi, że każdemu się później odechce go zaczepiać. Ale w dobroci niema milszego człowieka. Przystępny, popularny, do szpiku kości demokrata — nie taki, jak to są dzisiaj, co dla interesu z każdym jest za pan brat — ale prawdziwy, szczery, z sercem.

— Naturalnie, nie mówię o tobie, bo ty jesteś wyjątkiem. Ale pokaż mi dziś, proszę cię, moja Cesi, człowieka, któryby był takim, jak Maurycy przyjacielem. Ja bo takiego nie widzę, prawdę ci powiem. Dla siebie i swoich nie dba o nic, to prawda, sama wiesz, jaki jest, ale dla drugiego wszystko robi, o każdą rzecz się wystara, potrzebującemu odda ostatni grosz, każdemu pomoże, poradzi, każdego poratuje.

Pani Cecylja siedziała na krześle w kuchni, trzymając obie łaski w jednym ręku. Złość ją brała na głupotę tej Łucji. Więć co? Miała się z nią razem zachwycać tym Posztraskim, który od kąd tu mieszka, grosza uczciwie nie zarobił, nigdy do domu nie wraca inaczej, jak pijany, po nocy dobija się do bramy, a stróżowi, co mu otwiera, szeląga złamanego nie da. Cała kamienica z niego się wysmiewa, tylko ta jedna żona nie nie widzi. Dogadza mu, pracuje, zdziera sobie dla niego ostatnie siły i daje się takiemu gałganowi wyzyskiwać. Zniecierpliwienie pani Cecylji rosło.

— Dobrze, dobrze. Ale sama powiedz, do czego go to doprowadziło. Póki miał, żył zawsze nad stan, to wiadomo. Ale teraz, jak nie ma, to co on może rozdawać, nawet nie wiem. Ty byłaś rozsądniejsza, do ciebie należało myśleć o przyszłości.

Pani Posztraska prasowała jak zwykle, nie na desce, tego nie śmiała się domagać, tylko na brzegu stołu. Rozłożyła tam sobie oddarty kawałek starego brązowego w drobną kratkę pledu, a na tem strzęp żółtego, poprzipalanego płótna, które nazywała maglownikiem. Co pewien czas wytrząsała z wielkim łoskotem na blachę szczeriałą duszę z żelazka, a na jej miejsce wpuszczała na pogrzebacz nową, czerwoną i pałającą. Jedną po drugiej odkładała na rozpostartą gazetę wyprasowane, poskładane koszule.

— Zlituj się, Cesi, co też ty mówisz — broniła się łagodnie. — Chyba go nie znasz. Czy on byłby mi kiedy dał się wtrącić do czego?

— A widzisz, to właśnie jest najgorsze — przerwała pani Cecylja surowo. — Zawsze mu na wszystko pozwalała i sama chyba widzisz, jakie masz z tego skutki. A dziś robisz to samo. I co? Do niczego się ten człowiek nie weźmie, całe dnie u Chązowicza, całe noce w hotelu Polskim. Sama go do tego wszystkiego popychasz swoim postępowaniem.

Pani Posztraska miała na policzkach wypieki i od gorącej duszy, i od wysiłku, i od emocji, przykre, ciemne, koloru mięsa wypieki kobiet starych. Nie odrywała oczu od roboty, uśmiechała się winowajczo i ze zgorszeniem.

— Czy ja jego popycham, moja droga Cesi. Jaki ja jego popycham? Ja tylko nie chcę mu robić piekła, bo wiem, jak on sam nad tem cierpi, jak się czuje winien, jeżeli się tam kiedy da za ciągnąć i późno wraca i czasem mnie nawet obudzi. Trudno się dziwić człowiekowi, który nie ma żadnego ujścia dla swojej energii. On przecież wie, że jego siły, jego zdolności przez to się marnują. A powiedz sama, czy w jego wieku on nie powinien mieć jakiejs emerytury? Są przecież tacy, co mają naraz i emeryturę, i posadę, a on co? Tylko, że on ma charakter niezależny, nigdy nikomu nie schlebiał, prędzej da się zarąbać, niż powie to, czego nie myśli.

Mówiła prędko, polubownie, usiłując jak najdalej odwlec wybuch narastającej w pani Cecylji niezyczliwości, by zdążyć jak najwięcej uprasować tym cudzym węglem i cudzym żelazkiem.

— Maurycy, widzisz, to jest człowiek, którego nie można kupić — tłumaczyła, szukając zawsze najwyższych motywów swego zaślepienia. — Czy ty myślisz, kochanie, że ci, którzy dziś doszli do stanowisk, do zaszczytów, to są ludzie naprawdę zdolniejsi od niego? Weale nie, ja ci zaręczam. To są tylko ludzie, którzy wiedzieli, z kim trzymać, którzy umieli w porę kłaniać się, komu trzeba. Maurycy tego nie umie. A u nas tacy ludzie się marnują.

Pani Cecylja niepokojąco przekładała łaski z ręki do ręki, jak gdyby zamierzała już się podnieść. Obie należały kiedyś do rejenta Kolichowskiego. Rączka jednej wyobrażała głowę konia, wyrobionego z kości słoniowej, rączka drugiej srebrną i prawie nagą baletnicę. Ostatecznie pani Cecylja straciła cierpliwość.

— Moja droga — powiedziała sucho — jeszcze jedną koszulę skonczonej i na dziś będzie dosyć, bo widzisz, że stół jest teraz potrzebny Michalinie. A jeżeli chcesz, to ci jeszcze Ignacy zaniesie na górę kubełek węgla z piwnicy.

Chciała być wreszcie sama i bez współczucia patrzyła, jak pani Łucja uwinęła się prędko, zapakowała w maglownik swoje dobro i cała w serdecznych dziękczynieniach zniknęła za drzwiami. Ale po jej odejściu wcale nie doznała ulgi. Opierając się na obu łaskach i burkliwie opędzając od pomocy grubej Michaliny, przeszła powoli do jadalni. Była teraz sama wśród swoich ciemnych mebli dębowych, ponurych i brzydkich. Nawet patrząc, nie widziała ozdabiających je grubo rzeźbionych gruszek, jabłek i ubitych kuropatw, tak oddawna to wszystko wydawało jej się jedynie możliwym tłem życia. Pomyślała, że niema na świecie samotności. Łucja poszła, ale jej cudze słowa i cudze uczucia nadal napełniają niepokojem serce. Samotność jest złudzeniem. Myśli człowieka krążą zawsze koło innych ludzi i łączą go z ich obcym losem, który napróżno stara się odepchnąć.

Cały stosunek tej Łucji do męża pozostawał niejasny, jątrzył, nie dawał spokoju. Niema przecież wątpliwości, że stary Posztraski jest niepoń, że Łucja jest jego ofiarą, że jej życie jest bezsensowne i niemożliwe. Ale ona tego nie wie. Jej przemiana materji jest szybsza, wątroba zdrowsza, a los pomimo wszystko szczęśliwszy.